

Może choć Ornak...

Autor: Zygmunt Skibicki
15.12.2008.

Od kilku dni schronisko chochołowskie ociekało deszczem. Nieliczni wrześnieowi turyści przesiadywali w jadalni popijając to i owo głównie zaś szatańską herbatę na firmowym wrzątku. Około południowe fale biegaczy, którzy tu właśnie kończyli swoje eskapady, przynosiły szelest zdeszczonych, foliowych peleryn w szalenie modnym tego roku wściekle fioletowym kolorze. Gwarnie oblegali bufet, coś tam zjadali i humory im wracały, ale częściej spoglądali w rozmoczone mapy niż na zaparowane okna. Smętne ich miny znikwały po krótkim czasie i tylko "Mariola – o kocim spojrzeniu", z zadowoleniem podłączała kolejną beczkę piwa. Wszelkie próby wejścia na cokolwiek niezmiennie kończyły się dopełnieniem coraz słabiej działającej suszarni. BEZNADZIEJA.

Dopiero wieczorami, gdy zaokienny kapuśniak nie drażnił już oczu, pobrzękiwała gitara i robiło się jakoś ciepłej na duszach, co to chciałyby ku graniom. TĘSKNOTA.

.....

Śniadanie, herbata do termosu, jakieś kanapki, garść cukierków w kieszeń. Idę z desperacją zapewne widoczną w oczach. Zgrabna recepcjonistka zajęta żartobliwą rozmową z postawnym wopistą, odebrawszy mój klucz, pokręciła głową z widoczną dezaprobatą.

– Jednak pan idzie?

– Może choć Ornak...

Potok Chochołowski w zawrotnym tempie pędził obok drogi. To śmieszne, ale wyglądem przypominał kiczowate obrazki sprzedawane na zakopiańskim bazarze. W jego szumie co chwilę odzywał się rumor niesionych głązów. Zupełnie niewidoczne toczyły się po dnie, ale tak na ucho, to nie były to kamyczki do pamiątkowej kolekcji na domowej komodzie. Ze Starorobocieńskiej wywalał swoje wody jej imiennik w równie imponującej postaci.

– Ciekawe, jak wygląda Iwaniacki? – pomyślałem.

Jakoż po chwili okazało się, że suchy zwykle – jak pisze Nyka – żleb niesie sobą całkiem fajny potok. Jego szerokość nie powalała co prawda z nóg. Głębokości jednak wolałem nie mierzyć – nawet wzrokiem.

Przed pierwszą przeprawą spotkałem kilkunastu zagorteksyjnych Anglików. Stali bezradnie nad dwumetrową kipiela i widać było, że bez mostu pontonowego i wsparcia Służb Specjalnych Zjednoczonego Królestwa, to oni dalej nie pójdą. Ich polscy przewodnicy też jakoś nie palili się do przenoszenia dzieci Albionu na drugi brzeg. Wybierali się do schroniska ornaczańskiego na obiad. Kiedy jednak dowiedzieli się, że dalej będą z pewnością jeszcze trzy takie przeprawy a za przełęczą kolejnych kilka, odtrąbili i tyle ich widziałem.

Obyło się bez kąpieli i na Iwaniacką doszedłem suchą stopą. W średniej mgłę omijałem szkliste płyty śniegu na całkiem nie jesiennej jeszcze trawie. Widoki zerowe, trochę wiało i padał mokry śnieg. W tej scenerii spotkać mogłem tylko takiego samego narwańca albo...

– Dzień dobry, Straż Graniczna. Poproszę dokumenty.

Zaprosili mnie pod ogólnowojskową pelerynę rozwieszoną na cherlawym ogólnie dostępnym smreku. Ten, któremu podałem kwity, tak był zziębnięty, że ledwo odczytał do szczekaczki moje namiary. Zanim mu odpowiedzieli skądziś, że nikt mnie nie poszukuje – nawet żona, nalałem im po kubku gorącej herbaty. Zrewanżowali się lekko namokłym papierosem. Dowiedziałem się, że przed chwilą poszedł na górę jakiś równie jak ja napalony desperat.

Szlak szybko nabrał wigoru. Mokry śnieg, coraz silniejszy wiatr, gęstniejąca z każdym metrem wysokości mgła – to jest to lekarstwo na schroniskową melancholię, które lubią młode tygrysy i starszawi ... no.

Pod szczytem śnieg był już na tyle głęboki, że przykrywał kosówkę. Ślady poprzednika dziwnie kluczyły. Widać było, że gubił drogę. Kilka razy musiał przekopywać się na poważnie. Wiało potężnie – na szczęście w plecy.

Sam też kilka razy zapadłem się w grubo zasypaną kosówkę. Mgła i śnieg miały dokładnie ten sam kolor i nieco tylko inną konsystencję. Naprawdę nie wiedziałem gdzie kończy się stok, a gdzie zaczyna się pełny luft. Ewentualność zjechania w bok do Starorobocieńskiej lub „w stronę Pysznej" nawet w myślach nie była zabawna.

Stary, zdemobilizowany kompas wskazywał całkiem inny kierunek, niż podpowiadały oczy i pamięć po letnich kiedyś tu eskapadach. Ta bezduszna – stąd pozbawiona psychiki igła już kilka razy wyprowadziła mnie z podobnych opresji, więc zdałem się i tym razem na nią.

Pokręcone ślady poprzednika dawno zgubiłem, a tym samym nie było szans na dogonienie go i wspólne szukanie drogi. Na mapie wszystko tu wygląda cacy. Szlak nie kluczy. Biegnie niemal dokładnie na południe. Przy słonecznej pogodzie można tu wyprowadzić wycieczkę emerytów byle na nogach mieli

choć pionierki. Dojścia łatwe, nawet zbłądzić się nie da.

Teraz jednak była gęsta mgła a miedziony tęgim wiatrem śnieg skutecznie obniżał morale. Adrenalina powolutku zaczęła wylewać się uszami. Najrozsądniej byłoby wycofać się po własnych śladach. Odwróciłem się i wtedy zobaczyłem ten legendarny kolorowy śnieg. Nie na powierzchni, ale w głębi śladów po butach.

Ten mój kolorowy śnieg był majtkowo niebieski! Stałem i przez chwilę próbowałem zachwycać się tym kolorem na przekór oblepiającej mgłę i wrednie dującemu wiatrowi, który bardzo szybko zasypywał moje ślady. Nie był to najlepszy moment na odbieranie głębokich estetycznych wrażeń.

Już po kilkudziesięciu metrach moje ślady były ledwie widoczne. Wiatr dusił oddech, a oczy zalepiał śnieg. Zawróciłem więc znowu. Przysiadłem za czymś przysypanym śniegiem, co jako tako osłaniało przed zadymką. Herbata, kanapka i kilka cukierków pozwoliło ocenić sytuację na tyle, że przestałem panikować. Poszedłem dalej.

Teren opadał, to wznosił się, ale choleryczna mgła nie odpuszczała. Grubość śniegu przekraczała wysokość kolan.

Starłem się koniecznie utrzymać dokładnie na linii głównego grzbietu. Zboczenie na którąkolwiek jego odnogę z pewnością skończyłoby się co najmniej źle. Ten kilkudniowy, letni śnieg zjechałby razem ze mną na najbliższej stromiźnie zbocza. Kilka razy musiałem cofać się po kilkadziesiąt metrów, aby wrócić na grzbiet.

Po pyszniańskiej stronie Ornaku nie czułem tak mocnego wiatru i było nieco przyjemniej, ale strach przed zbłądzeniem wypychał mnie z powrotem na świszczący zadymką grzbiet. Widoczność zmieniała się od kilku do kilkunastu metrów. Wpatrywałem śladów poprzednika, ale czy to zbłądził czy też zawrócił, a może jego ślady zawiął już wiatr? – nigdzie ich nie spotkałem.

Trwało to strasznie długo i wszelkie kalkulacje czasu traciły z wolna sens. Możliwe, że go po prostu wyprzedziłem. Przy tej bladoszarej ćmie mogłem przejść obok odpoczywającego o głupich kilka metrów. W niektórych miejscach robiły się już po wschodniej stronie małe nawisy. Pewnie grzbiet robił się tam tak wąski, że przechodził jakby w wąską grań.

Wiara w kompas doprowadziła mnie wreszcie do przełęczy Siwej, którą poznałem tylko dlatego, że na odwianym kamieniu był znak końca czarnego szlaku. Gdyby nie ten znak pewnie wlaźłbym aż na Raczkową i tam dopiero stwierdziłbym pomyłkę, bo jeśli nie... to lepiej nawet nie myśleć.

Prawdę powiedziawszy, to ilość lekkich podejść i zejść, które skrupulatnie liczyłem, nie do końca zgadzała mi się z mapą. Zwykle tak się dzieje podczas chodzenia po głębokim śniegu, że nie wie się czy droga wiedzie w górę, czy w dół. Szczęściem znak szlaku nie budził wątpliwości. Tu także nie było żadnych śladów.

Szybko traciłem wysokość nie próbując nawet trzymać się szlaku. Co tu gadać – uciekałem starym upłazem w dół tak szybko, jak tylko mogłem. Nachylenie stoku wreszcie złagodniało i groźba zjechania wraz z polem śnieżnym oddalała się coraz bardziej.

W starorobociańskim lesie skończył się śnieg, skończyła się mgła, nawet szlak się odnalazł, i tylko wezbrany potok wylewający się ze swojego koryta na drogę świadczył, że nie była to najlepsza pora na wycieczki po łatwym - jak mówią, Ornaku. Znajomi w schronisku pytali gdzie byłem. Coś zmyśliłem o aptecę w Zakopanem.

.....

Nazajutrz opuszczałem zachłapaną Chochołowską. Na Hucisku przy budce z pamiątkami czekał na autobus chłopak podobnie jak ja zde gustowany pogodą. Po kilku słowach okazało się, że poprzedniego dnia był na Ornaku. On także spotkał jakieś ślady pod Siwą Przełęczą. Pokazaliśmy sobie podeszwy butów. Nie było wątpliwości. Bez dalszych słów spojrzeliśmy sobie w oczy. Któryś z nas miał tam na górze znacznie więcej szczęścia niż rozsądku, a może obydwaj.

Ja z pewnością.